



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

**STANISŁAW**  
ze Szczepanowa.

BISKUP KRAKOWSKI

Na wysokim pagórku białe mury nowo wzniesionej świątyni; krętą, prowadzącą do niej drożyną ciągnęły wozy ładowne zbożem i wszystkimi płodami bujnej Krakowskiej ziemi. Tuż za nimi postępował na czele gromady wieśniaków, mąż poważnej i pięknej urody; przy nim szła niewiasta cudna jeszcze, lubo czas stał z jej oblicza pierwszej młodości krasę. Snać oboje byli panami włości, widnej opodal wśród sadów i drzew zielonych.

Skoro stanęli w progu kościoła, ukłękli i ślubowali uroczystie składać corocznie podobną dziesięcinę na utrzymanie służby Bożej, a potem dopiero weszli do wnętrza świątyni. A była to budowa w stylu bardzo wdzięcznym i poważnym; wazkie kolorowe szyby, niewiele przepuszczając światła, czyniły, że łatwo tam było zebrać ducha na modlitwę. W wielkim ołtarzu mieścił się obraz św. Magdaleny, którą pobożni założyciele naśladować pragnęli w jej miłości dla Zbawiciela.

Skoro pod wysokim sklepieniem przebrzmiała pieśń pobożna do Najświętszej panny, a następnie odmówiono nieszporne modlitwy, wszyscy powstali i razem powrócili do dworu, gdzie już była przygotowana biesiada dla chłopków.

W dziedzińcu ocienionym lipami, zastawiono stoły uginające się pod ciężarem mięs, kołaczy i dzbanów miodu. Zaproszeni krzątali się koło nich ochotczo, radując się nie tyle obfitością jadła i napojów, ile błogą opieką dziedziców, którzy ich podejmowali. I naprawdę mieli się czem radować, bo trudno było znaleźć podobnych panów na wiele mil wokoło.

Uważali oni swój lud jak trzodę, powierzona im od Boga, którą doprowadzić byli winni do nieba. Nietylko więc rozciągali miłosierdzie nad zdrowiem i chudością chłopków, lecz nadto nie szczędzili im serdecznego słowa, ku podniesieniu ducha.





Skoro dzbany miodu coraz częściej krażyć zaczęły, stary wójt, zasłużony w gromadzie, zabrał głos, chwając wdzięczną Bogu i ludziom zacność swego państwa; poczem wyrzekł, że wszystkim ich poddanym, jednej rzeczy nie dostaje do prawdziwej pomyślności.

— I czegoż takiego? — pytali zaciekawieni słuchacze.

— Oto brak nam pewności, czy i dzieci nasze podobnie szczęśliwą mieć będą dolę, skoro nie mamy dziedzica cnót i roli naszych panów.

— Prawda święta — odrzekli wtedy drudzy, wstrząsając głowami — lecz któż poradzi co przeciw woli Bożej?

— Nie idzie tu o to, aby jej stawać na przekór — mówił stary Paweł — aleć dozwolono prosić w pokorze; owóż przyszło mi do myśli, abyśmy się złożyli wszyscy i zakupili solenną wotywę w tutejszym nowym kościele, żeby wymodlić państwu naszemu dziedzica.

— Dobrze mówicie Pawle, złożymy się, złożymy ochotnie, dziś nawet — wołały razem rozliczne głosy.

Dosłyszeli je opodal siedzący państwo i zapytali o coby chodziło? Wszyscy wieśniacy rzucili się do nich tłumnie, chcąc opowiedzieć nowo powzięty zamiar, ale stary Paweł nie dopuścił im tego i sam rzecz całą przełożył. Na to pani uśmiechnęła się tak smutnie, że zaraz poznać można było, iż długie lata przeboleła nad osamotnieniem swego domu, a pan tłumiąc wzruszenie wyrzekł:

— Dziękuję wam moje dzieci, za waszą przychylność i dobre ku nam serce, ale trzydzieści lat przeszło minęło już od czasu, gdy ja i moja niewiasta ślubowaliśmy sobie wiarę, a gdy dotąd Pan nie dał potomstwa, snąc już go nam odmówił wcale. Frasowaliśmy się tem niepomale, ale nie wyrzekamy przeciw świętej Jego woli, bo i tak udarował nas zobopólną miłością...

— Aleć skoro niema nic niepodobnego u Boga, mógłby więc skłonić się do prośb naszych — rzekł znów obstając przy swoim wieśniak.

— Składalibyśmy mu wtedy dzięki w miłości i pokorze — odparł pan.

— I ofiarowalibyśmy służbie Jego dziecię nasze — dodała, wznosząc w niebo oczy, pani.

W rok potem Bóg wysłuchał rzeczywiście modłów wdzięcznych chłopków. Szlachetny Wielisław ze Szczepanowa i Bogna, pobożna jego małżonka, radowali się przyjęciem na świat syna. Na chrzcie świętym dali mu imię Stanisława, co znaczyło, że pragną, aby się zeń stała sława Bogu i Kościołowi Jego.

Rosło w lata, łaskę Bożą i miłość u ludzi młode pachole i szybko zbliżał się czas, w którym je wydalić miano z pod domowej strzechy.

Pokonawszy mężnem sercem boleść rozstania z jedynakiem, rodzice wysłali go najprzód do Gniezna, gdzie podówczas kwitnęła nauka. Młody Stanisław przy świątobliwych obyczajach, był bystrego rozumu i pamięci wielkiej, zapragnął więc ćwiczyć się dalej w Paryżu, gdzie przebywało wtedy wielu ludzi doskonałych w mądrości Bożej.

Przemieszkował długo pomiędzy niemi z wielką dla siebie korzyścią i powróciwszy do ojczyzny, zwrócił na się oczy ziomek prawdziwą nauką, a zarazem nieodstępną od niej pokorą.

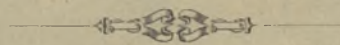
Lambert, ówczesny biskup krakowski, uмиłował go wielce i do stanu kapłańskiego zachęcać począł. Oddawna

Stanisław sam przez się pragnął poświęcić się Bogu; niezadługo więc, odbywszy odpowiednie studia, przyjął kapłańskie święcenie. Zasłynął wkrótce pomiędzy duchowieństwem pobożnem żywotem i kaznodziejską wymową. Sędziwi rodzice radowali się jeszcze lat kilka spełnieniem najgorętszych swych życzeń, poczem zasnęli w Panu na rękach bogobojnego syna; on zaś objął rządy pozostałej włości. W długie lata sprawował je miłościwie lubo zdaleka od swego dziedzictwa, bo biskup Lambert nie wypuszczał go z Krakowa. Pragnąc w nim widzieć następcę na biskupstwo, zlecił mu rządy kościołów i wszelkie sprawy duchowne. Po śmierci Lamberta całe duchowieństwo uznało, że nie było nikogo godniejszego zając jego miejsce nad Stanisława. Wzbraniał się on długo od przyjęcia tak wysokiego dostojęstwa i uległ dopiero zniewolony prośbami całego narodu. Trzydzieści i sześć lat liczył wtedy, gdy potwierdzony został na biskupa przez papieża Aleksandra II-go.

Wyniesienie to zamiast podnieść go w pychę, było mu jeszcze pobudką do większej doskonałości. Przejęty był wielką prawdą, że przykład, więcej niż słowa działa na serca ludzkie. Dom jego był więc odtąd domem ubogich, których opatrywał potrzeby.

Zapisane miał wszystkie wdowy i sieroty swego biskupstwa i dopomagał im, o ile była potrzeba. Godził zwaśnionych, stawiając im za przykład, jako sam zapominał krzywd swoich które z całego serca bliżnim odpuszczał. Wszystek czas zaś jaki mu zbywał od prac kościelnych, poświęcał modlitwie i rozpamiętywaniu Pisma św.

(d. n.)

  
Zadwiga Wazniówna.

## PROFESOR W TECZCE

(Kartka ze znalezionej pamiętnika.)

(Dokończenie).

— Już katarynka nie gra, możeby otworzyć okno?

— Niech panna Solska będzie tak grzeczna i jeszcze raz otworzy okno — rzekł tonem szyderczym profesor.

Helenka wypełniła zlecenie, lecz w tej chwili rozległ się znowu dźwięk walca „Il baccio”.

Wtedy mały profesor zacerwienił się, podgarnął czuprynę i miał właśnie coś powiedzieć, gdy gałka papierowa wymierzona przez Lonię na Kocię Słupecką, źle skierowana zamiast dojść do miejsca przeznaczenia, trafiła go w sam nos. Zdrętwiałam z przerażenia.

— Nie, moje panny, tego już zawiele! Nie spodziewałem się takiego zachowania w pierwszej klasie. Poskarżę się pani przełożonej — rzekł profesor.

Na te słowa Lonia wybuchnęła głośnym płaczem, a kilka uczennic zaczęło prosić;

— Panie profesorze, niech jej pan daruje — mówiły — ona najmłodsza z nas wszystkich, to prawie jeszcze dziecko, niech pan nie skarży, to jej popsuje całą cenzurę i zatruje wakacje. Panie profesorze, ona już tego nigdy nie robi, niech jej pan daruje!

— A więc przejdźmy do lekcji. Po ukończeniu Akademii krakowskiej gdzie udał się Jan Kochanowski? Panno Mikulska!



— Po ukończeniu Akademii udał się Kochanowski do Padwy, a stamtąd po trzech latach do Paryża, gdzie podobno miał napisać pierwszy swój wiersz polski: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary”. Wiadomość ta jednak, jak się zdaje, jest mylną, bo Kochanowski podobno wiele później ten hymn napisał...

— Miały się panny tego wiersza nauczyć na dzisiejszą lekcję...

— A tak — odrzekła Mikulska i rozłożywszy na pulpicie swój biały fartuszek, zaczęła z niego odczytywać piękny hymn wieszczą z Czarnolasu, bo cały wiersz napisany był ółówką na czystym fartuszu.

Sąsiadki dusiły się od śmiechu. Wtedy mały profesor spojrział z taką litością na Mikulską, że mnie, zwykle bladej, płomień na twarz uderzył.

— Która z panien na *pamięć* powie mi wiersz naszego poety — rzekł profesor, akcentując dobitnie słowa „na pamięć”. Może panna Konarska?

Ale Stefka Konarska wpakowała sobie copredziej w usta dużą gałkę papieru, którą miała przygotowaną w ręku i powiedziała niewyraźnie:

— Nie mogę mówić, mam twarz obrzękłą... zęby mię bolą...

— A sąsiadka?

— Leżałam wczoraj na głowę i nie mogłam się nauczyć...

— Widziałem panią w ogrodzie, w bardzo dobrym humorze, nie zdradzał on bynajmniej bólu głowy. Widzę, że w tej klasie nie tylko kwitnie próżniactwo, ale i inne niepię-kne cnoty, kłamstwo zaś jest rzeczą zwyczajną. A więc żadna z panien nie jest przygotowaną?

Postępowanie moich towarzyszek oburzało mnie od samego początku. A więc, że profesor jest mały, delikatny w obejściu, lecz trochę nie energiczny, muszą się zaraz popęlniać takie nadużycia? Z natury, jak już powiedziałam, byłam leniwa i apatyczna, lecz po ostatnich słowach profesora krew we mnie zawrzała.

— Co? nasza klasa jest niepilna i mówi nieprawdę? Żadna nie jest przygotowana na lekcję jak się należy? Jedna brząka na katarynce pod ławką, druga je czekoladę, trzecia rzuca gałki, czwarta udaje chorą, piąta kłamie, szóstą odczytuje, a wszystkie zachowują się niżej krytyki! I gdy jeszcze raz cieniutkim głosem rozległo się w klasie zapytanie profesora: „A więc żadna z panien nie jest przygotowaną?” wstałam i powiedziałam:

— Ja panie profesorze.

Wszystkie ze zdziwieniem spojrzały na mnie, lecz ja nie zważałam na to i zadeklamowałam piękny hymn do Boga: „Czego chcesz od nas, Panie”, a potem opowiedziałam dalsze koleje życia Kochanowskiego, wymieniłam wszystkie jego dzieła, uniósłam się nad Psalmami i Trenami, a nawet streściłam: „Odprawę posłów, Muzę, Satyrę i Proporzec”. Nie pojmowałam sama, skąd mi się te wszystkie wiadomości brały; w życiu swoim w ten sposób nie wypowiedziałam jeszcze lekcji, a koleżanki były nie mniej zdziwione, tręcały się i szeptały pomiędzy sobą.

Skończyłam nareszcie i usiadłam na miejscu.

— Panna Marya Kaliniecka uratowała honor klasy — powiedział rozpromieniony mały profesor, ona, jak widzę jedna rozumie potrzebę pracy i odczuwa jej błogosławieństwo.

— Boże! ja odczuwam potrzebę pracy i jej błogosławieństwo! ja uratowałam honor klasy! ja, zawołany próżniak, wyczekujący z upragnieniem chwili opuszczenia szkolnej ławki. Jakieś dziwne, nieznane dotąd uczucie ogarnęło mnie nagle. Uczucie błęgiego zadowolenia, a zarazem i wstydu, że pochwała ta nie była zasłużoną...

A tymczasem mały profesor, z oczami pełnymi zapału, patrzył na mnie i zaczął mówić o spełnianiu obowiązków i o szczęściu, które daje wiedza.

Wszystkiego, co mówił powtórzyłbym nie mogła, ale pamiętam doskonale, że najbardziej zastanowiły mnie te słowa: „Praca nie tylko uszczęśliwia jednostkę, ale przyczynia

się do uszczęśliwienia ogółu; jest ona błogosławieństwem życia, chroni od nudów, od przesyty, jest balsamem w cierpieniu moralnym, jednym słowem przynosi nam spokój sumienia, dobrobyt, zdrowie ciała i duszy. A jakimże skarbem jest wiedza? Tylko wybrańcy ludzkości wkroczyć mogą do owej świątyni... całym tłumom, nawet wstęp do przedsionka jest wzbroniony, choć niejeden wyciąga błagalnie ręce, aby mu owe święte podwoje otworzyć... Panie należycie do tych wybranych, położenie wasze społeczne zaprosiło was na go-dy do owej świątyni. Czyż deptać będziecie te cenne dary, których wam los szczerze użyczył, a których inni łakną daremnie przez całe życie?”

Słuchałem z napięciem słów małego profesora, a chociaż podobne słowa słyszałam już wiele razy, padały one jednak jak groch na ścianę i dopiero wtedy wpadły mi do uszu i serca.

— Ma rację, ma rację — powtarzałam sobie w myśli. Byłam dotąd ślepą i ograniczoną? Nie chciałam światła wiedzy, lekceważyłam je, a nawet niem gardziłam. Nie chciałam wejść do owej świątyni wybranych, choć droga do niej była dla mnie od dzieciństwa tak łatwa i tak wygodna. Ale teraz będzie inaczej! jeszcze czas, jeszcze czas do poprawy. Jeszcze, chwała Bogu, nie zapóźno...

### III.

— Marylko, Marylko, chyba się już wypałaś — krzyknęła mi prosto w ucho swoim dźwięcznym głosem moja sąsiadka, Hala Meyer — Jan Sosenko wchodzi...

Na te słowa mały profesor wskoczył do teczki, a ja machinalnie podniosłam się z miejsca i oddałam z innymi uczennicami ukłon panu Sosence, który, jak zwykle, wchodził z uśmiechniętą miną do klasy i witał nas uprzejmym pochyle-niem głowy.

Otworzyłam szeroko oczy. Teką z wypracowaniami le-żała zamknięta na stole, jak ja panna Teresa położyła; towa-rzyszkę moję z wzorowem skupieniem siedział w ławkach, tak, jak to przyrzekły sympatycznej nauczycielce. Żadna nie miała grającej tabakierki, ani papieru w ustach, ani hymnu, napisanego na fartuszu; żadna nie udawała chorej, a wszystkie brzydziły się kłamstwem. Były to przecież dziewczęta dorastające, rozumiejące swą godność i dobro nauki. Cała więc niefortunna lekcja małego profesora była niczem innym, tylko złudzeniem, sennym marzeniem, wywołanem za-pewno, słyszanem niedawno opowiadaniem o różnych wypad-kach, jakie zaszły na innej pensyi, dzisiaj już nie istniejącej...

Wśród tego dziwnego snu, który mógł trwać najdłużej z pół godziny, zarysowała się jednak w mej duszy jedna wielka prawda, rzeczywiście jasne uświadomienie, że postępowałam dotąd źle, że traciłam czas marnie, że nie korzystałam ze złotych skarbów młodości, a wraz z niem zbudziło się gorące, niezłomne postanowienie wejścia na inną drogę... I może to się wyda dziwnem, nienaturalnem, dla mnie samej pozostanie niepojętem, że czego nie potrafili zdziałać swojemi wymownemi słowami ani moja szanowna przełożona, ani pełni zapału nauczyciele, zdziałał ów widziany w sennym marzeniu profesor z teczki.

Miałam jeszcze blisko dwa lata do skończenia pensyi i czasu tego nie zmarnowałam. Podczas całych wakacji po-wtarzałam pilnie historię, geografję, nauki przyrodnicze, bo wszystko umiałam tylko powierzchownie, jak to mówią — po lebkach, a o powrocie do szkoły myślałam z radością.

Zapał, który mnie ogarnął, wpłynął nawet zbawiennie i na moje zdrowie. Bładaczki pozbyłam się zupełnie i po wakacjach, czerstwa jak bursztówka, wróciłam do miasta. Po-witałam szkołę, jako ową świątynię, do której podwoje mi były otwarte i w krótkim czasie nie tylko dogoniłam moje ko-leżanki, ale prześcignęłam je nawet. Cały do końca pobyt na pensyi był dla mnie szeregiem tryumfów i duchowych uniesień; opuściłam ją z pierwszą nagrodą...

Z pożegnaniem ławki szkolnej miłość, do zdobywania wiedzy nie zagasła we mnie; starałam się coraz dalej wcho-



dzić do owej świątyni, do której mnie wprowadził profesor z teczki i wolnym krokiem idę ciągle naprzód, nie ustając w pochodzie, choć to już dawno, dawno od owego snu w skwarne popołudnie czerwcowe i choć już gdzieś niedaleko około skroni zaczynają mi srebrzyć się włosy.



Projekt na pomnik Kopernika w Krakowie.

## Projekt na pomnik Kopernika w Krakowie.

Jak to już powszechnie jest wiadomem, komitet budowy pomnika Mickiewicza, powierzył pracę utworzenia projektu na takowy Cypryanowi Godebskiemu, jednemu z najzdolniejszych naszych polskich rzeźbiarzy. Gdy projekt ten wykonanym będzie, postaramy się zapoznać z nim czytelników „Wieczorów”, tymczasem podajemy w rycinie projekt tegoż artysty, na pomnik Mikołaja Kopernika, który na odpowiednim piedestale, ma stanąć w Krakowie, na dziedzińcu gmachu Biblioteki Jagiellońskiej.

Jak widzimy, artysta przedstawił naszego sławnego astronoma w młodzieńczym jeszcze wieku, wyrażając całym układem jego postaci, charakter poważny i skupienie myśli, która zagłębia się w wysnuwaniu owej wielkiej idei, mającej spowodować zupełny przewrót w dziedzinie astronomii.

Przy zachowaniu portretowego podobieństwa, artysta umiał szlachetnej głowie mędrca nadać cechy swojskości i wdzięku, uplastyczniając zarazem wysoką jego inteligencję i energię charakteru. Pod względem też wymagań sztuki, dzieło to jako utwór dłuta, zapowiada się jaknajlepiej.

## G A S K A

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

### OSOBY:

Edzio	lat 17	} rodzeństwo.
Julek	„ 16	
Olesia	„ 15	
Basia	„ 14.	

(Scena przedstawia pokój dowolnie umeblowany, dwoje drzwi).

### Scena I.

Julek, Edzio.

Edzio (*chodzi*). Całe święto zmarnowane.

Julek (*siedzi przy stole*). Naturalnie, w takim towarzystwie.

Edzio (*j. w.*). Nie wiem, doprawdy, skąd ojcu przyszło zapraszać ją na Zielone Świątki!

Julek. A no, jako kuzynkę.

Edzio (*j. w.*). Tyle czasu obywaliśmy się bez tej znajomości!

Julek. Właśnie ojcu chodziło o zapoznanie nas z nią.

Edzio (*j. w.*). Niechbyśmy nie stracili, gdyby to do skutku nie przyszło.

Julek. Prawdopodobnie.

Edzio (*przystanawszy przed Julkiem*). I o czym z taką wiejską gąską rozmawiać?

Julek. O gęsiach.

Edzio. Chyba. Ale i tego nie można bo mogłaby się domysleć, że ją właśnie mamy na myśli.

Julek. E, nie przypuszczam.

Edzio (*chodząc*). Całe dnie ślęcz nad książką, a na święta, zamiast rozrywki, taki ciężar!

Julek. Baw... obsługuj!...

### Scena II.

Ciż — Olesia.

Olesia (*wchodząc bocznymi drzwiami*). Wszystko już gotowe.

Edzio. Dla owego, tak strasznie pożądanego gościa.

Olesia. O, bardzo pożądanego. Będę miała przyjemne towarzystwo.

Julek. Z tak miłej osoby!.

Olesia. Naturalnie (*poprawia meble, układa na stole*).

Edzio. Pełnej cnót patryarchalnych. Ciekawe tylko czy używa widelca?

Olesia. No, no, żeby ona cię czasem nie nauczyła grzeczności.

Julek. A czegoż się można spodziewać od panny, która do czternastego roku życia, nie widziała Warszawy.

Edzio. Można by ją za bileta mi pokazywać.





Widok Krakowa od strony Wisły.



**Olesia.** Cóż wielkiego, że nie widziałam Warszawy; czyż to ma decydować o jej wartości?

**Julek.** Oho! co za adwokat!

**Olesia.** A, bo nieznosni jesteście z temi uprzedzeniami do Basi, a to właśnie ma być bardzo miła panienka.

**Edzio.** Rozpływajże się nad nią i zachwycaj, ale nie wymagaj, byśmy się z jej przyjazdu cieszyli.

**Olesia.** Możecie się nie krępować, sama dam sobie radę z bawieniem gości.

**Edzio.** O, gdyby tylko wypadało...

**Julek.** Nie zobaczyłabyś nas przez całe święta.

**Olesia.** Szkoda, żeście sobie gdzie nie pojechali.

**Julek.** O, my pewno więcej żałujemy tego.

**Edzio.** No, ale zanim obejmimy te ciężkie obowiązki, chodźmy się przejść chociaż.

**Julek.** Tyle naszego.

**Olesia.** Owszem, owszem.

**Edzio** (*biorąc czapkę lub kapelusz*). Więć do widzenia (*idzie ku drzwiom w głębi*).

**Julek.** Do wieczora (*bierze kapelusz i idzie za Edziem*).

**Olesia.** Nie zapominajcie jednak, że mamy pojechać na stację.

**Edzio.** O, pamiętamy o tem dobrze.

**Julek.** Stawimy się na służbę w oznaczonym czasie.

**Edzio** (*otwiera drzwi w głębi, spotyka się z wchodzącą Basią, n. s.*) Masz tobie.

**Julek** (*n. s.*) Jest nasz okaz.

### Scena III.

Ciż — Basia.

**Basia** (*z koszyczkiem*). Zdaje się, że zastałam wszystkich (*kłania się*). Basia, do usług waszych.

**Olesia** (*podbiegając ku niej*). Jaktó? sama przyjechałaś? (*Edzio i Julek kładą kapelusze na bocznym stole*).

**Basia.** Jak widzisz (*całuje Olesię, która odbiera od niej koszyczek i stawia na krześle*), moja droga (*zwraca się do chłopców*). Bardzo mi przyjemnie poznać kochanych kuzynów, ale chciałabym wiedzieć, który z was Edzio, a który Julek?

**Edzio** (*kłaniając się*). Edward.

**Julek** (*kłaniając się*). Julek, do usług kuzynki.

**Basia.** Tylko mówmy sobie po imieniu, jak przystoi w tak bliskim pokrewieństwie.

**Edzio** (*z ukłonem*). Z przyjemnością.

**Julek.** Jeżeli kuzynka pozwoli.

**Basia.** Masz, znów kuzynka.

**Julek** (*poprawiając się*). Jeżeli Basia pozwoli.

**Olesia** (*siadając obok Basi*). Musisz być bardzo zmęczoną.

**Basia.** Nie, bynajmniej.

**Olesia.** Oczekiwaliśmy cię wieczorem i mieliśmy się wybrać na kolej, na twoje spotkanie.

**Basia.** Przybyłam zawczasem na stację, a że zastałam pociąg odchodzący do Warszawy, więc skorzystałam z tego.

**Olesia.** Ale jakże dałaś sobie radę?

**Basia.** A cóż to wielkiego? Ojczulek wyeksperymentował moje rzeczy, kupił bilet, wsadził do damskiego wagonu i kazał w Warszawie tragarzowi kartkę od rzeczy oddać, zapamiętawszy jego numer, następnie wsiaść do dorożki i powiedzieć adres. Widocznie spełniłam wszystko dokładnie, skoro tu jestem.

**Olesia.** Bracia moi zawstydzeni tem, żeś się wszystkiem zając musiała sama.

**Basia.** Bardzo się dobrze stało, żeście się nie trudzili.

**Edzio** (*siadając*). Podziwiam odwagę i energię kuzynki.

**Basia.** Ej, bo się pogniewam.

**Edzio.** Ach, przepraszam, to tylko zapomnienie. Do prawdy podziwiam odwagę i energię Basi. Nie każda z pańienek puszczałaby się w drogę, tak sama.

**Basia.** Każda w mojem położeniu znalazłaby tyle odwa-

gę. Nie mam matki, a osoba która się zajmowała mojem wychowaniem, jest bardzo słabego zdrowia i podróż każda mocno ją utrudza, zajęta gospodarstwem, nie miałaby czasu jechać ze mną. Musiałabym się więc wyrzec przyjemności, na którą się bardzo cieszyłam.

**Julek** (*siadając*). Więć dla miłości Warszawy?

**Basia.** O, to rzecz podrzędna. Przedewszystkiem pragnęłam was odwiedzić. Od chwili zaprosin wujaszka, o tem myślałam tylko, że się poznamy nareszcie!

**Olesia.** To wzajemny miałyśmy do siebie pociąg. Od tygodnia rachowałam dni do twego przyjazdu.

(*d. n.*)

## SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

Tymczasem wiatr wschodni sprzyjał nam wyjątkowo i Halbran w pełni rozwiniętych swych żagli sunął z szybkością 12 mil na dobę, co jeśliby potrwało dłużej, sprowadzić nas miało wkrótce do koła biegunowego.

To też roznawiając z Len Guy:

— Wiesz kapitanie — rzekłem — jeżeli pójdzie tak dalej, staniemy przed zaporą lodową bodaj jeszcze przed ruszeniem się lodowców.

— Kto wie, panie Jeorling, obrachunek z tem trudny bardzo. Zresztą zauważyłem, że tegoroczna wiosna wyjątkowo jest tu wczesną; już bowiem u wyspy Coronation widziałem odrywające się bryły lodu, co zwykle ma miejsce za ledwie w sześć tygodni później.

— Byłaby to dla nas bardzo szczęśliwa okoliczność, gdybyśmy nie czekając końca stycznia, mogli przebyć zaporę już w pierwszych dniach grudnia — odrzekłem.

— Rzeczywiście, warunki temperatury zdają się nam sprzyjać — potwierdził Len Guy.

— Dodać jeszcze muszę, że Biscoë w drugiej swej wyprawie za ledwie w połowie lutego dosięgnął ziemi, nad któremi się wznoszą szczyty Wiliam i Stowerley pod 64°. Tak przynajmniej podają opisy podróży, których mi udzielił, kapitanie.

— A o których dokładności wątpić nam nie wypada.

— W takim razie zatem, nim upłynie miesiąc...

— Za miesiąc, panie Jeorling spodziewam znaleźć się już po drugiej stronie lodowców, na owych bezpiecznych obszarach wodnych, o który mówi zarówno Wedel jak Artur Prym. Tam też nie przeszkodzi nam nic zapewne dopłynąć najpierw do wyspy Bennet, a następnie do Tsalaal...

— Jestem twego zdania, kapitanie! Najważniejsza jednak kwestya przebyć lodowce! Oby nam tylko pomyślny wiatr służył i nadal!

— Na własnem i drugich doświadczeniu polegając, pewny jestem stałości tego wiatru, bo gdy od 30-go do 60-go równoleżnika wieje przeważnie wiatr zachodni, dalej już bierze stałą przewagę z przeciwnego kierunku idący prąd, o czem sam już przekonać się pan mogłeś, odkąd przebyliśmy tę linię.

— Tak jest w rzeczy samej, kapitanie, i to mię cieszy prawdziwie. Zresztą, wyznaję szczerze, a nawet nie wstydzę się tego, że zaczynam wierzyć w przeznaczenie...

— A dlaczegożby nie, panie Jeorling dla czegoż nie mielibyśmy dać wiary, że opiekuje się nami Opatrzność Boga, wyższa nad naszą wolę i nad nasz rozum. Alboż nie mo-



zemy tego stwierdzić w najpowszedniejszym nawet życiu ludzkim, jeśli nie wspomnę już o losach marynarza? Czyż to właśnie nie ta Opatrzność sprowadziła na naszą drogę nieszczęsnego Watersona, który na lodowcu przybywa z tak odległych stron i choć martwym już ciałem, daje świadectwo o życiu tamtych. Pomyśl pan tylko: jedna spóźniona godzina spotkania, a nie dowiedzielibyśmy się nigdy tego, o czym mamy przekonanie teraz i ku czemu dążymy... Co więcej, ducha mego utrzymuje silna wiara, że skoro niebo łaskawe uczyniło tyle dla nas, by nas naprowadzić na drogę ku naszym nieszczęśliwym, nie zechce nas też opuścić i w najcięższych potrzebach tej podróży...

— Niewątpliwie — odrzekłem — wola Boska kieruje nami odpowiednio do naszego ducha i woli naszej! Tylko ludzie bez religii wierzyć jeszcze mogą w starożytne „fatum” albo ślepy traf. Życie nasze łączy się w jeden łańcuch...

— Łańcuch — podchwycił kapitan — którego w tym razie pierwsze ogniwo stanowi lodowiec Watersona, a ostatnim będzie wyspa Tsalal! Tak jest mój bracie i wy wszyscy towarzysze jego niedoli! Z błogosławieństwem Boga spieszę wam teraz z pomocą, której naprózno oczekiwaliście przez długie lat jedenaście. Dziś mam nadzieję, że niezadługo przycisnę was do swych piersi!

Silne wzruszenie kapitana poruszyło mnie do głębi i choć budziły się w mej myśli pewne obawy, pewien lęk przed możliwym niepowodzeniem, nie śmiałem jednak, choćby jednym słowem wytrącić go z tego spokoju, jaki daje przeświadczenie w pomoc Bożą.

Takiż sam duch ufności w jaknajlepsze powodzenie, widny był wśród marynarzy, mianowicie wśród starej służby żaglowca, oddanej bezpodzielnie kapitanowi. Nowozaciągnięci oczywiście obojętnymi byli o tyle na losy wyprawy, o ile to nie dotyczyło całości ich osoby i wypłaty umówionego żołdu.

Jeden tylko Hunt, zawsze milczący, w gorliwym spełnianiu służby przechodził wszystkich, nawet naszych pocztowych starych.

— Bodaj ten człowiek nie myśli więcej jak mówi... Dotychczas nie znam prawie jeszcze głosu jego — przekładał mi Hurligierly nie mogący nikomu wybaczyć małomówności.

— Jeżeli względem ciebie milczy, nie rozmowniejszy jest ze mną — odparłem.

— A jednak wiesz pan co mi się zdaje?...

— Cóż takiego?

— Otóż musiał on już kiedyś płynąć temi wodami, musiał być bardzo daleko, dalej jak za kołem biegunowym, za lodowcami nawet. Jeśli się mylę, nazwij mnie pan jak zechcesz...

— Co cię jednak naprowadza na podobne wnioski, bosmanie?

— Z ócz mu to patrzy, panie Jeorling! Z tych jego ócz, zwróconych w każdej chwili na południe, a w których pali się jakiś ogień, niby żar dwóch pochodni.

— Zauważyłem już sam ten jego wzrok dziwny.

— I widziałeś pan, że jeśli nie jest na służbie, stoi zawsze na przodzie statku, równie milczący, jak nieruchomy. Właściwie biorąc, miejsce jego powinno być tam wysoko, gdzie zwykle umieszczają godła okrętów i chociaż nie byłaby to, przynasz pan, najpiękniejsza z urody figura, ale równie jak drewniana, stałaby zawsze nieruchoma. A gdy steruje, do kroćset... możnaby sądzić, że siedzi tam znieczulony siłą igły magnesowej. Pochlebiam sobie, że jestem sam niezłym sternikiem, ale ten Hunt nie zboczył jeszcze dotąd choćby na jedną linijkę... i myślę, że gdyby wypadkiem nocą, lampa zgasła, on by jedynie przy świetle własnych ócz swoich, jeszcze się nie zmylił...

Stanowczo gadatliwy bosman starał sobie w mem towarzystwie wynagrodzić obojętność, z jaką przyjinowany był przez kapitana i Jen Westa, ilekroć brała go chętka dłuższej nieco pogawędki. Przyznać wszakże musiałem, że uwagi jego odnośnie do Hunta z wielu względów były dość trafne. W każdym razie był to człowiek tak niepowszedni, tak

bardzo różniący się od innych, że śmiało można by go zaliczyć do jakichś na wpół fantastycznych postaci; i gdyby Edgard Poë znał go osobiście, pewny jestem, że uczyniłby z niego bohatera najoryginalniejszej swej powieści.

W miarę, jak żaglowiec nasz posuwał się naprzód z najwyższą swą szybkością, przy bezzmiennie sprzyjającym wietrze, wiosenne słońce ogrzewało coraz silniej atmosferę i w licznych gromadach płynące wieloryby, ożywały fale morskie. Nowo też zaciągnięni marynarze, mianowicie amerykańskiego pochodzenia, przypatrywali się im z wielkim zajęciem, nie ukrywając bynajmniej swego niezadowolenia, że nie mogą skorzystać z tak łatwej zdobyczy, tak łatwego z bogacenia się cennym w handlu tłuszczem wielorybów.

Najgłośniejszym ze wszystkich w tym względzie był Hearne, wytrawny rybak, duch niespokojny i mało uległy, który umiał sobie odrazu wśród towarzyszy wyrobić wpływ i powagę.

Przy każdej robocie na statku, zręcznością swą i siłą wykazywał, czem mógł być w swem rzemiośle, któremu, jak sam to wyznał, oddawał się z całą namiętnością dzikiej swej natury.

Ponieważ jednak Halbran, jako statek kupiecki południowych stron Atlantyku i Oceanu Wielkiego, nie zajmując się nigdy łowami, nie posiadał nawet odpowiednich ku temu narzędzi, przeto wieloryby, nie płoszone niczem, igrały swobodnie wokoło.

Jednego dnia, gdy w porze południowej chodził zwolna na pokładzie, przypatrując się z pewną przyjemnością ruchom tych olbrzymów, Hearne i kilku jego kolegów stało wspartych o poręcz, prowadząc głośnie rozmowę.

— Ot patrzcie tam, co za wspaniały okaz *lin-back'a*, paszczę ma wielką niby dom cały! A tutaj znowu tych kilku, jak sobie płynie spokojnie z prądem, ani się ruszy ich cielsko... Dajcie mi tylko harpun, a głowę moją kładę w zakład, że ugodzę tego samca właśnie między cztery żółtawe plamki, które są widne na jego grzbiecie!... Ale w tym przeklętym pudle kupieckim człowiek zgnieć może... ani sposobu zabawić się tu trochę! Do diabła takie życie!...

Tu posypało się w dalszym ciągu całe bogactwo przekleństw w jakie specjalnie obfityje język marynarski.

— A tamten znowu — zawołał żywo Hearne, po krótkiej przerwie.

— Który? Czy ten z garbem na grzbiecie, niby u wielbłąda?...

— Tak, tak... właśnie ten sam! To *hum-back*, czy widzisz skórę na jego bokach w grube zmarszczone fałdy i wielkie pletwy na przodzie? Nie łatwe na te bydlęta polowanie, bo lubi ci to płynąć głęboko, a szybko ucieka, jakby mu skrzydła wyrosły. Do kroćset! Zasłużyliśmy, żeby nam tak wymierzył potężne uderzenie ogonem w tułów okrętu, gdy mu niedołąźnie nie wpakujemy harpuna w jego cielsko!...

— Baczność! baczność! — zawołał w tej chwili bosman nie z obawy przed owym życzoną przez Hearnę uderzeniem, lecz że zauważył olbrzymiego wieloryba, przypływającego tuż do statku i wyrzucającego fontannę zwykle cuchnącej, brudnej wody, która tak silnym strumieniem biła właśnie w górę, że cała ta strona pokładu oraz wszyscy stojący w pobliżu w jednej chwili oblani nią zostali.

— Dobrze nam tak! — zamruczał Hearne, wzruszając ramionami, podczas gdy inni otrząsali się z niemilej tej kąpieli, klnąc nie żartem.

Oprócz tych dwóch gatunków wielorybów, które wymienił Hearne, uganiały się na powierzchni wody spokojniejsze *rinht-whales*, które pozbawione skrzeli, obfityją w grubą warstwę słoniny. Ponieważ łowy na nich nie przedstawiają niebezpieczeństwa, więc rybacy wyszukują ich najchętniej, mianowicie na południowych morzach, gdzie trzymają się one gromadnie dla wielkiej ilości skorupiaków, stanowiących wyłączne prawie pożywienie ich olbrzymich ciał o przełyku nadzwyczaj wązkim.

Właśnie też w odległości dwóch zaledwie sięgów płynął



taki right-whales, piękny, do 60 stóp długi okaz, mogący dostarczyć około 100 beczek tłuszczu. Trzy zatem podobne zdobycze wystarczyłyby w zupełności na ładunek jednego dużego statku.

— Tak, to mi prawdziwy wieloryb — zawołał znowu Hearne — poznać go odrazu można po wytrysku wody krótkim a silnym, innym zupełnie od tego tam w tyle okrętu, który znowu wyrzuca *right-whales*. I powiedzieć, że to wszystko przesuwają ci się pod nosem, bez korzyści żadnej! Do pioruna, nie wypełniać swych baryłek, gdy można tak łatwo, równie jest głupstwem jak wyrzucać pełnemi garściami złoto na dno morza! Prawdziwym też niedołęgą jest kapitan, który pozwoli ginąć marnie zdobyczy i krzywdzi w ten sposób swą załogę!...

— Hearne — zagrzmiął w tej chwili donośny i surowy głos Jem Westa — idź natychmiast w górę na maszty, stamtąd wygodniej możesz przyglądać się wielorybom!...

— Poruczniku!...

— Ani słowa... albo zatrzymam cię tam aż do jutra. Dalej marsz, bez zwłoki jednej chwili!...

Uznając, że opór wszelki mógłby tylko pogorszyć położenie, Hearne usłuchał, choć cały drżał z tłumionej złości.

Zagłowiec przerzynał właśnie przestrzeń morza z kolorytem czerwonym, które to zabarwienie nadawała mu niezmierna ilość drobnych skorupiaków z rodzaju krewetek. Wieloryby też nie utrudzały się ich połowem, wystarczało im bowiem zagarnąć od czasu do czasu jednym lub drugim wąsem sterującym u szerokiej ich paszczy, aby takowe napełniać. Że zaś olbrzymom tym dla dostatniego wyżywienia codziennie bodaj miliardami pochlaniać trzeba drobne te żyjątka, możemy wytworzyć sobie pojęcie o niezmierzonej ich ilości w takich stronach oceanu, ilości prawdziwie wyjątkowej, co stwierdziło jeszcze nasze obserwacje odnośnie do bardzo wcześniejszej w tym roku pory wiosennej.

Mimo jednak tak łatwej zdobyczy, do której zapalał się Hearne, nie spotkalismy tam ani jednego rybackiego okrętu; odległość bowiem tych miejsc odstraszała jeszcze w pierwszej połowie naszego stulecia nawet najodważniejszych.

(d. c. n.)

## OTWIERANIE KORONY KWIATÓW.

Osoby, lubiące prawdziwe kwiaty, nie dadzą pociągnąć się modzie, której podoba się w danym czasie pewien kwiat, odróżniać od innych, jako mniej pospolity. Lubownik kwiatów kocha je wszystkie, zarówno rzadkie i okazałe kwiaty stref gorących jak skromne, swojskich pól i lasów, jak górskie i wodne. Nie pogardza żadnym, na długich wiejskich wycieczkach tak powabnych i zdrowych, składa w bukiet piękne dzwonki konwali, skromne gwiazdki pospolitego glistnika, błyszczące żółte kwiatki jaskrów i szkarłatne maki, bierze co się zdarzy, bo jakże miłe są te pierwsze kwiateczki, rozkwitłe już w maju. Po powrocie z wycieczki zbiory swe

umieszcza w wazoniku, pielęgnuje troskliwie, wodę odświeżającą ich łodygi, zmienia tak często, jak gdyby kwiaty te kupione były na wagę złota.

Jeżeli czytelnicy moi należą do tego rodzaju miłośników roślin, zrozumieją tę przyjemność, zajmą się każdym kwiatkiem, takim nawet, któremu uprawa nie dodała wdzięku, nie zdwoiła płatków, będą badać jego zwyczaje, nawyknięcia, ruchy wszystkie. Ruchy dostrzegalne w kwiatkach zerwanych, są energiczniejsze jeszcze, więcej ujednolajnione w kwiatkach nie odłączonych od łodygi. Wieczorem, w chwili gdy słońce ma się skryć za horyzontem, listki zbliżają się do podtrzymującej je łodygi, tulą się do siebie, jak gdyby szukały wzajemnej ochrony przeciw chłodowi nocy, lub też wychylają się nad kwiatkiem, tworząc jakby rodzaj kolebki. Są także kwiaty wykręcające się na swej szypułce za słońcem. Niektóre, jak np. glistnik, o którym była mowa przed chwilą, otwierają koronę swoją stale o jednej godzinie, po upływie pewnego czasu zamykają ją, aby otworzyć znów aż nazajutrz. Liczba takich kwiatów jest tak wielka, że naturalista szwedzki Lineusz ułożył liczbę roślin, znanych pod imieniem „zegaru kwiatowego”; rośliny te otwierają korony swych kwiatów o różnych godzinach dnia i nocy. Bliższe studia wykazały, że godzina oznaczona dla otwierania się kwiatu, przyspiesza się w klimacie umiarkowanym, opóźnia w krajach zimniejszych, a zegar Lineusza, ułożony, w Szwecji, pospiesza około godziny w klimacie paryskim. Światło i ciepło dnia, grają znaczną rolę w tych ruchach. Można się przekonać sposobem bardzo prostym jaki wpływ wywiera samo ciepło.

Przesadzić trzeba do wazonu kwitnący na łące śniedek (*Ornithogalum unibellatum*) ładną roślinkę z rodziny liliowatych, która w maju i czerwcu wznosi na łąkach naszych łodygą, zakończoną parasolem białych kwiatów. Po pewnym przeciągu czasu, który zostawić jej trzeba na odpoczynek po przesadzeniu, spostrzedz można, że otwiera swe kwiatki codziennie około godz. 11, aby je zamknąć około drugiej lub trzeciej po południu. Jeżeli pragniemy aby się rozwijał, po za godzinami zwykłemi, nie używajmy środków gwałtownych, nie przydałyby się na nic podarłyby się tylko płatki. Trzeba tylko rozgrzać umiarkowanie żelazko do prasowania i unieść je ponad kwiatami. Powietrze się ogrzeje, a po chwile kwiatki otworzą się same. Glistnik, tulipan, szafran otwierają równie w ten sposób swe korony bez trudności. Są wszakże inne kwiaty, które, gdy raz się zamkną, nie chcą się otworzyć aż nazajutrz. Tych nie oszukacie, zapalając wśród nocy lampy o silnem świetle, nic ich to nie wzruszy, pozostaną nieczule na zalewające je światło. Z nastaniem dnia zaś choćby umieszczone w ciemności, gdy godzina zwykła nadejdzie, otwierają się same, nie wprowadzi ich w błąd noc sztuczna. Gdy wszakże przez czas dłuższy będą oświecone nocą, a w czasie dnia trzymane w ciemności, w końcu dadzą się przekonać, otworzą przy sztucznem świetle swe korony. Kwiaty podobne mają niektóre rośliny z rodziny szczawikowatych i złożonych.

A. R.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Stanisław ze Szczepanowa, biskup krakowski. — Profesor w teczce przez Jadwigę Warnkównę. — Projekt na pomnik Kopernika w Krakowie (z ryc.) — Gaska, komedyjka w jednej odsłonie. — Widok Krakowa od strony Wisły (ryc.) — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Otwieranie korony kwiatów przez A. R. — Dodatek: Historia młodej pszczołki, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Jagienka przez Z. R. — Łamigłówni i rozwiazana. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.



# WIECZORY RODZINNE

## HISTORIA MŁODEJ PSZCZOŁKI.

Raz na wiosnę w pewnym roju  
Chowała się pszczołka młoda,  
W dobrobycie i spokoju,  
A zdobiła ją uroda.

Ale pszczołka miała wady,  
Była krnąbrną i leniwą;  
Na najlepsze nawet rady,  
Umiała być opryskliwą.

„Już mi zbrzydło tutaj życie —  
Rzekła pełna zniechęcenia —  
„Wstawać codnia choć o świcie...  
Z sił upadam z utrudzenia!

Nasz ul, dziurą jest szkaradną,  
Wprost już patrzeć nań nie mogę,  
Jestem przecie pszczołką ładną,  
W świat uroczy znajdę drogę!”

I jak rzekła, tak zrobiła,  
Z pierwszym powiewem wietrzyka,  
Dom i siostry porzuciła,  
Lekkomyślna pszczołka dzika.

Więc gdzie wielkich łąk obszary  
Gdzie jest pięknie i słonecznie,  
Wśród jaskrów, dzwoneków bez miary,  
Czuje się dobrze, bezpiecznie.

Na barwnym kwiatku przysiedzie,  
Z kielicha słodycz wypije,  
Bez troski co dalej będzie  
Cały już dzionek tam żyje.

Aż znikły słońca promienie,  
Wilgotna rosa dokoła  
I nocy ponure cienie  
Okryły trawy i zioła.

I przepadł gdzieś świat wspaniały  
Znikły cudne upojenia...  
Pszczołce z zimna nóżki drżały...  
Dla niej niema tu schronienia!...



Gdy więc odrętwiała legła  
Ból ją ścisnął ciężki, srogi,  
Za tą strzechą z której zbiegła  
Której porzuciła progi...

Zanim sierp księżycy cały  
Błysnął światłem z poza chmury,  
Ciągnął łąką orszak mały  
Cichy, milczący, ponury..

Jak mię sowa zapewniała  
Tak skończyła pszczołka młoda,  
Bo ocenić nie umiała  
Gdzie jest szczęście, gdzie swoboda.

M. D.

## BĄDŹ ODWAŻNY A NIE CHWAŁ SIĘ.

Stefan, chłopczyk ośmioletni, uważał się za dorosłego. Miał duży bat, trząsał nim cały dzień, a ponieważ robił dużo hałasu, zdawało mu się, że jest bardzo dzielny.

Siostrzyczka jego, Anielka, była o tyle cicha i łagodna o ile on hałaśliwy. To też często posądzał ją o tchórzostwo i mawiał do niej zwykle: baba jesteś, ja bo jestem mężczyzną, nie boję się niczego.

Rodzice Stefana i Anielki mieszkali w mieście, ale

posiadali niedaleko za rogatkami domek i kawałek ziemi. Chodzili tam prawie co niedziela.

Raz Stefan, będąc cały dzień na wsi, biegał po ogrodzie i trząsał z bicia, ale gdy się tylko zmierzchno, powracał do domu, bo ze zbliżeniem się nocy zniknęła cała jego odwaga. W domu zastał matkę zaniepokojoną. Ojciec, który w czasie upału, zajęty był w ogrodzie, doznał porażenia słonecznego. Powrócił do domu chory,



położył się do łóżka, głowa go bardzo bolała, pod wieczór wzmogła się gorączka, o powrocie do domu nie można było myśleć.

— Stefanku — rzekła matka — nie mogę ani na chwilę zostawić ojca w takim stanie, a jednak trzeba sprowadzić lekarza. Nie mam kogo posłać, pobiegnij prędko i przyprowadź go.

Stefanowi serce zabiło na myśl, że ma sam iść do miasta, ale ponieważ bardzo kochał ojca, a nie chciał uchodzić za tchórza, wziął czapeczkę i drżąc, otworzył drzwi.

Niestety, na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno, nikt nie przechodził, nie słychać nie było oprócz głośnego szczekania psa. Po kilku minutach aż mu się zimno zrobiło ze strachu, nie mógł kroku postąpić, powrócił mówiąc, że noc jest tak ciemna, iż drogi znaleźć niepodobna.

Matka pochyłona nad chorym, któremu robiła zimne okłady, załamała ręce.

— Boże mój! Boże! — zawołała — co ja zrobię z tem dzieckiem tchórzem, ojciec może umrzeć bez pomocy.

Anielka dotąd nie odzywała się wcale, siedziała smutna w kąci. Zobaczywszy rozpacz matki, zbliżyła się do łóżka.

— Mamusiu — rzekła — ja pójdę ze Stefankiem może nam się uda odnaleźć drogę, we dwoje będzie nam łatwiej, przyprowadzimy lekarza.

Wzięła zdziwionego Stefana za rękę i poszła z nim, noc była bardzo ciemna. Gdy uszli kilkanaście kroków, oczy ich nawykły do ciemności, widzieli drogę doskonale, wkrótce ujrzeli we mgle wieczornej światełko błyszczące z daleka. Stefana niepokoił tylko bardzo głos psa, który się rozlegał wśród ciszy nocnej.

— Nie bój się — rzekła Anielka — to Wiernuś, on mnie zna, bo mu daję codzień kawałek chleba.

Na nieszczęście Stefan przypomniał sobie, że dziś właśnie drażnił Wiernego batem, to też drżał na całym cielem, gdy pies zbliżał się do nich. Ale łagodny głos Anielki uspokoił psa, pogłaskała go, a on kręcił ogonem na znak przyjaźni. Wtedy to zrozumiał dopiero Stefan, że lepiej jest gdy nas zwierzęta kochają, niż gdy się nas boją.

Dzieci doszły wkrótce do miasta i sprowadziły lekarza do chorego ojca.

W kilka dni potem ojciec podniósł się z łóżka zdrów zupełnie, wziął wtedy na kolana dzieci i uściśkał je serdecznie.

Anielka i Stefan byli uszczęśliwieni, że przyczynili się do uzdrowienia ojca.

Stefanek odtąd nie przechwalał się już odwagą, nie wyśmiewał siostry, przeciwnie był z niej dumny.

O dzielności i odwadze sędzić można z czynów, nie ze słów.

A. R.

# JAGIENKA

PRZEZ Z. R.

(Ciąg dalszy).

Jagienka pomagała matce w zbieraniu i pakowaniu niezbędnych rzeczy, młodsze dziewczynki nie rozumiejąc niebezpieczeństwa, a rade z zamieszania, biegały, śmiejąc się wesoło.

— Zosiu, Zosiu, łap kotka, weźmiemy go ze sobą — wołała Dorotka, i obie puściły się w pościg za kotem, który uciekał i chował się pod komody i sofę.

— Dzieci — upominała Jagienka — nie róbcie hałasu i nie kręćcie się tak wokoło mamy, widzicie, jaka zmartwiona!

Przestroga ta zaledwie na chwilę odniosła skutek, dzieci wnet zapomniały o niej i znowu rozbrzmiewały wesołe głosy i śmiechy.

Pan Wojski naglił do pospiechu i w godzinę już wszystko było gotowe. Kolasa i bryka stały przed progiem modrzewiowego dworu, wypakowane najpotrzebniejszymi rzeczami. Trzosem z pieniędzmi, opasał się pan Bartłomiej, woźnica, stary Mateusz, zlaźł z kozła, batem uczynił krzyż przed kołmi — pani miecznikowa odmówiła krótką modlitwę na progu, raz jeszcze spojrzała na ściany tego domu, w którym przeżyła dwie dziesiątki lat w spokoju i szczęściu, a teraz zostawia go na pastwę wrogów! Dzieci siedziały już w kolasie, mały jej synek wyrwał się z rąk niańki, Agaty, wołając: mamó! Jej się wydało, że widzi już nad tą jasną główką buzdygan szwedzki, kopyta rajtarskiego konia, rajtara w żółtym kolecie, biorącego na cel to jej ukochanie... Przestąpiła szybko progi domu i usiadła obok dzieci. Pan Wojski zajął miejsce przy Mateuszu na kozle.

— Ruszaj! — zawołał, i konie pomknęły z kopyta.

— Niech pani bratowa dobrodziejka będzie spokojna — rzekł, pochyliwszy się do siedzących w kolasie, straż przednia przed godziną wyruszyła na rozpatrzenie drogi, gdyby było najmniejsze niebezpieczeństwo, znać dadzą i my wtedy drogę zmylimy, ujeżdżając pierwszą lepszą drożyną boczną. Straż tylna wyruszy po nas w pół godziny.

— Spokojna jestem — odrzekła pani miecznikowa — Bogu i Najświętszej Pannie oddałam się w opiekę.

I poczęła półgłosem odmawiać „Pod Twoją obronę.” Dzieci spoważniały. Jagienka powtarzała za matką słowa modlitwy. Cicho było w kolasie, jak w kościele. Najmłodsza tylko Dorotka nie mogła się przejąć uroczystym nastrojem, głaśkała swego białego kotka, przemawiała doń szepcząc mu w ucho pieszczotliwe słówka. Kotek widocznie nie był rad tej podróży i tym pieszczotom, kręcił ogonem, wyrażając tem niecierpliwość i zły humor. Po chwili rozległ się rozżalony głos Dorotki:

— Kotek, mój kotek! Stań Mateuszu, zatrzymaj konie! Kotek upatrzył stosowną chwilę, wyskoczył z powozu, i umknął przez pole ku domowi w skokach radosnych. Dorotka nie chciała zrozumieć, że nie można zatrzymać się i kota po polu łapać. Przywoływała go rozpaczli-



wie, lecz kot znikł jej wkrótce z oczu. Smutna, wsparła główkę na kolanach matki i z wielkiego żalu za kotkiem usnęła.

Jechano tak w spokoju parę godzin; dzień, jak na październik był gorący, konie pomęczone potrzebowały wypoczynku, dzieci były głodne. Zatrzymano się, wydobyto chleb i kawałek zimnego mięsa, ale zaledwie pani miecznikowa rozdała dzieciom podróżny podwieczorek, przypadł na zdyszczanym koniu pacholek z przedniej straży z oznajmieniem, że zbrojny oddział Szwedów jest nie dalej, jak o pół mili; poją konie w strumieniu przy drodze sami widocznie dość już pili, bo ledwo trzymają się na nogach. Strach i trwoga padła na naszych podróżnych! Żadnej bocznej drożyny nie było, gdzieby można ujechać, jak sobie pan Wojski układał. W oddaleniu kilku staj widniał bór sosnowy. Tam trzeba się dostać, tam ukryć! przez ten bór dostawać się bliżej Częstochowy! ale o tem, by dojechać ciężką kolasa mowy nie było. Droge od pola, które trzeba było przebyć, by się do boru dostać, oddzielał rów, dosyć nawet głęboki i szeroki, zaledwie pieszo można się przezeń przedostać. Co tu robić? pytali jedni drugich, nie znajdując żadnej rady.

— Gdybyście pani przyjęli moją radę, tobym poraził — rzekł Mateusz.

— No cóż takiego? mówcie — nagliła pani miecznikowa.

— A no, nie innego, tylko wy pani, z dziećmi i panem Wojskim, dostańcie się na pole i prosto do boru pospieszajcie, tam was nie dojrzą, a my tu ze Szwedem będziemy sobie radę dawać.

— O, bójcie się Boga! czyż mam i was opuścić? — zawołała pani miecznikowa, łamiąc ręce.

— Pani, wy myślcie o dzieciach, nie o nas! my rzucimy Szwedowi „piaskiem w oczy”, to jest opowiemy się przy jego królu, zagarnie nas pewnikiem, ale może nie uszczęśliwi. Idźcie pani, uciekajcie, Szwed, gdy konie poprze, będzie tu w mig, a jeszcze spita bestya — miejcie litość nad swojemi robaczkami.

Nie było innego sposobu, trzeba było przyjąć radę pocziwego starego sługi.

Ledwie przebrano się przez rów z dziećmi, nie było to łatwą rzeczą; wydostano się w końcu na pole i zdążano pieszo do boru. Dorotka wnet ustała, nóżki ją bolały i pan Wojski musiał wziąć ją na ręce. Matka prowadziła za rączkę Zosię. Dziewczynka dobywała wszelkich sił, by starszym nadążyć. Chłopczynę niosła Agata. Jagienka wzięła Zosię za drugą rączkę, widząc, że już się ociąga, tak jest zmęczona, i teraz mogli kroku przyspieszyć. W samą porę dotarli do boru: gdy dosięgnęli brzegu i skryli się pod cieniem wyniosłych drzew, ujrzeni na drodze, którą jechały ich powozy, tuman kurzu wzbity kopytami końskimi. Wkrótce szary tuman przysłonił wszystko! Z największym natężeniem i trwogą patrzył nań pan Wojski i pani miecznikowa. Po chwili, kurz zaczął opadać powoli, zaś owa niekształtna masa wydłużać się, w końcu ujrzeni najwyraźniej, jak kolasa i bryka, zagarnięte wraz z wojskiem szwedzkim, posuwać się zaczęły.

W gromadce naszych podróżnych panowało ponure milczenie. Wojski przerwał je nareszcie.

— Nie mamy czego wychodzić z lasu na gościniec, możemy się znowu natknąć na Szwedów; posuwajmy się powoli lasem, wyjdziemy przecież gdzieś, dowiemy się w pierwszej wiosce, czy można dalej bezpiecznie jechać. Dalszą drogę będziemy musieli odbywać wozem. W tem smutnem położeniu, to jest dobrem, że łatwiej będzie zjechać z głównej drogi, a bocznemi dostać się do Częstochowy.

— Niech nas Bóg ma w swojej opiece, Jego tylko ręka może nas wyprowadzić z tej ciężkiej chwili! — szepnęła pani miecznikowa. Serce jej było pełne trwogi, ale by dzieci nie przerażać, nie okazywała jej. Poczęli iść lasem. Bór sosnowy szumiał złowrogo. Sosny szumią zawsze, przy najcichszym nawet powietrzu, ale naszym podróżnym, przerażonym swoim położeniem, szum ten wydał się dziwnie smutnym, nawet strasznym! A niestety, stawał się coraz silniejszym: wiatr się zrywał, począł przeginać wierzchołki sosen, szumiały też coraz żłośniej; zaczęło się ściemniać, za prędko, jak się zdawało panu Wojskiemu. Poglądał z trwogą pomiędzy rozchylające się gałęzie i spostrzegł ciężką, czarną chmurę, rozciągającą się nad lasem. W chwilę potem błysk przerażającego rozdarł mroki leśne i grzmot potoczył się po niebie... Młodsze dziewczynki przytuliły się do kolan matki i dalej iść nie chciały, trzeba je było nieść. Pani miecznikowa wzięła na ręce małego chłopczynę, pan Wojski Zosię, a Dorotkę Agata. Jagienka trzymała się jej za fartuch. Ruszono dalej w milczeniu. Burza zbliżała się. Błyski, ćmiące wzrok, co chwila rozświecały niebo. Dzieci zasłaniały oczy, starsi żegnali się przerażeni. Bór w błysku ognistym zdawał się przepełniony olbrzymiemi marami. Chwiejące się konary robiły wrażenie rąk czarnych, długich, wyciągających się do przerażonej gromadki podróżnych. Wicher wył przeraźliwym głosem, sosny szumiały, huczały, jak rozszałate fale morskie, łoskot piorunów, odbijających się setnemi echemi, głużył wszystko. Grube, pierwsze krople deszczu uderzały po twarzach. Dzieci płakały. Jagienka trzymała w kurczowo zaciśniętej ręce fartuch Agaty. Drżała na całym ciele, ale nie chciała bardziej jeszcze przerażać matki i chociaż miała gardło ściśnięte płaczem, tłumila go, szła w milczeniu, zakrywając oczy przed strasliwymi błyskami, któremi co chwila gorzał bór cały. Postępować prawie nie można było, stać w miejscu straszno... Szli tak bardzo długo. Wtem, nie wiedzieli w ciemności kiedy i skąd, stanął przed nimi jakiś człowiek. I on widać nie spodziewał się tego spotkania w lesie, w taką burzę, bo przerażony zawołał: „Wszelki duch Pana Boga chwali!” — „I my chwalimy!” — odezwał się pan Wojski wraz z panią miecznikową.

— A wy skąd, niebożęta, w taką wichurę wzięliście się w tym lesie?

— Uciekamy przed Szwedami — krótko odpowiedział pan Wojski; — u nas palą i rabują!

— O la Boga! Ale dokądże idziecie teraz?

— Nie wiemy. Przedostać się musimy do jakiegś wsi, a stamtąd do Częstochowy.

— Ho, ho, do Częstochowy! to nie blisko. Nie możecie tu nocy przepędzić przy takiej burzy, wichura wzmacza się, może drzewa łamać, do tego pioruny, to i śmierć gotowa! Idźcie, a no prędko, o staję stąd jest



chata leśnika, poczciwi ludziska przenocują was. Tylko trzymajcie się na lewo, bo gdy weźmiecie na prawo, to i tydzień możecie iść lasami i nie wyjść!

— Zaprowadź nas do tej chaty dobry człowieku, a ja cię nagrodzę.

— Nie mogę, jałówka zginęła mi, nie moja, gospodarska; muszę jej odszukać. Idźcie z Bogiem, trzymajcie się na lewo, a wnet ujrzycie światło, nie będą jeszcze spali.

(d. c. n.)

## SZARADA.

Ułożył Puszczczyk z Pilawy.

Pierwsze litera dobrze znana,

Jako przyimek używana.

Drugie i trzecie

W handlu znajdziecie.

Wszystko uczniom zalecane,

W każdej szkole wymagane.

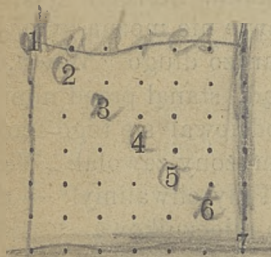
## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożyć 14 wyrazów, których pierwsze litery złożą nazwę znanego kmiecia z IX w. Znaczenie wyrazów:

1) Dopływ Wisły. 2) Twierdza przy ujściu Wieprza. 3) Część świata. 4) Najznakomitszy mówca kościoła, złotego wieku. 5) Miasto n. Wisłą. 6) Wyspa duńska. 7) Miasto nad Wisłą. 8) Wyspa na morzu Śródziemnem. 9) Jedna z 9-ciu muz. 10) Miasto na Szlasku n. Bystrzycą. 11) Wzgórze n. Wisłą w Krakowie. 12) Dopływ Uralu. 13) Szczyt w Alpach. 14) Miasto w Japonii. Sylaby: Pi—i—a—skar—li—wan—fry—ca—grod—ka—ga—ruń—ze—ra—kra—ro—u—świ—wa—i—ce—yo—ko—lan—ków—dos—wel—lek—nis—nia—ha—dya—dni—ma—ca

## ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Ułożył Stefan Ster.



W kwadracie o 6 przedziałach zastąpić kropki literami, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwisko słynnego, niem. muzyka kompozytora zeszłego stulecia. 1) Ang. kraj w Indyach n. brzegiem Korumandelu. 2) Znakomity

współczesny malarz. 3) Hetman kozacki z XII w. 4) Kraj na wsch. Włoch, n. m. Śródziemnem. 5) Słynny prawodawca w starożytności. 6) Miasto w połud. Włoszech.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Szarały: Sa — ha — ra.

## Łamigłówki sylabowej:

1) Andriolli. 2) Damaszek. 3) Ananas. 4) Modrzew. 5) Matejko. 6) Ilmen. 7) Cecylia. 8) Karaluch. 9) Isle. 10) Ebro. 11) Włocławek. 12) Ispahan. 13) Cytra. 14) Zambezi.

Adam Mickiewicz — Jan Kochanowski.

## Łamigłówki w trójkącie:

J a g i e ł ł o  
A m e r y k a  
G d a ń s k  
I r e n a  
E t n a  
Ł z y  
Ł e  
O

## Skrzynka do listów.

Pani *Gajewskiej*. Zapewne przez zapomnienie Szanowna pani przy zmianie adresu nie podała nazwy miejscowości, dopóki zatem pomyłka nie zostanie naprawioną, pismo wysyłać będziemy pod dawnym adresem.

Pani *Halinie Cierpińskiej*. Ponieważ przy opłacie na drugie półroczce podany był adres do Kowna, przeto sądziliśmy iż młodzi czytelnicy wrócili tamże, gdzie też Wieczory wysyłane były.

Pani *T. Łoskiewicz*. Żądane książki wysłane, koszta ich wraz z przesyłką pocztową wynoszą 5 rs. kop. 10. „Metoda wzmocnienia pamięci” dotychczas w języku polskim wydana nie została. Sądzymy, iż systematyczny kurs kaligrafii, nie może być dla pracującego bez znacznych korzyści, wpływać bowiem zawsze musi na spokojne ułożenie ręki, co jest jednym z pierwszych warunków starannego i pięknego pisma. Zapełniając też dziennie najwięcej dwie strony, synek Szanownej pani znajdzie niewątpliwie dość jeszcze czasu na rozrywki i ruch tak konieczny dla młodego wieku.

List *Jadzi G.* otrzyma Jaskółka dopiero po swym do Warszawy powrocie, jeżeli wszakże Jadzia w czasie tych wakacji zechce pisywać do Redakcyi, zrobi nam prawdziwą przyjemność, bo tak staranne liściki, lubimy zawsze odbierać od naszych czytelników. Wierzmy też chętnie, że pilna nauka wedle programu gimnazjalnego zostawia Jadzi mało już czasu na rozrywki i przyjemności — życzymy też jaknajwięcej chwil miłych, dużo powietrza i ruchu w czasie obecnego wypoczynku.

*Rybak* z nad Wisły otrzyma życzone numera, rozwiązanie łamigłówek i szarady dobre.

Również dobre rozwiązania nadesłali: *Maryan K., Edmund C. Laszka, Różany listek, Mały bocianek, Ksawery L. Józio K., Jelonek i Gustaw B.*

Nadesłane łamigłówki *Romana G., Ptasznika i Lewkonii* Redakcyja przejrzy.

Pani *Natalii Szreders*. Przy noworocznej opłacie otrzymaliśmy od Szanownej pani tylko rs. 3, (roczna wynosi rs. 5), że zaś Redakcyja musi koszta przesyłki pocztowej opłacać z góry kwartalnie, przeto prenumeraty miesięcznej u nas nie ma; wszakże na wyrażne życzenie Wieczory w dalszym ciągu wysyłamy.